

uważa za swój obowiązek być na dwóch kazaniach w niedzielę, to jest jednego wysłuchać za siebie, drugiego za mnie. „Filip Niecnota“ — to było stale moje przezwisko, którem mnie wspominała matka za wszystkie moje wybryki i niedbalstwa w służbie Bożej.

Nie wiele sobie podówczas robiłem z tej nazwy „Niecnota“. Byłem pewny, że w matce mojej mam taki potężny gromochron nad całym naszym domem zainstalowany, że mogę dokazywać, jak mi się podoba, a żaden piorun gniewu Bożego we mnie nie ugodzi.

Tak myślałem, mając lat 25 i 30. Nawet, gdy mi Pan Bóg zabrał matkę, niewiele się zmieniłem. Byłem światowcem, lekkoduchem, zmyslowym. Ale czuwała nademną matka moja. Co się takiego stało, żem się odmienił i wszedł na drogę cnoty, to właśnie jest celem mojego pisania.

Mniej więcej rok po śmierci matki, gdy już zapominał o wszelkiej żalobie, a tęsknił jedynie do wesołego towarzystwa kolegów i marzył tylko o balach i tańcach — i flirtach, pewnej nocy miałem dziwny, przerażający sen.

Śniło mi się, że umarłem. Dusza moja, jakby jakaś subtelna, powietrzna szata wymknęła się z ciała. Śmierć była nagle, bez żadnego przygotowania. Szeroko otwarłem oczy... Coza oczy ja wtedy miałem! Na sto i więcej mil przenikały przestrzenie świata. Na pierwsze wejście spostrzegłem, że od mojego łoża śmierci ciągnie się niesłychanie długa droga, jakby jasna smuga. Droga prowadziła powoli w górę. Czy ona była tysiąc mil długa, czy sto tysięcy, czy milion mil długa — tego nie wiem. Na końcu tej drogi lśniła postać Boskiego Zbawiciela tak jasnym światłem, że ono mnie całkiem oślepiało. Czułem, że nie mam sił ani cnót potrzebnych, aby do tego światła móc dotrzeć. Sumienie poczęło mi z największą siłą i goryczą wyrzucać brak koniecznego odzienia, t. j. szaty godowej. Koło mnie przelatywały rozmaite dusze i w jednej chwili przebiegały drogę i rzuciły się do stóp Zbawiciela, który je podnosił i czule witał i do Boskiego Serca przyciskał. Czułem, że tam panuje wesele i radość, o jakiej świat pojęcia nie ma.

I ja począłem się posuwać na tej drodze. Wnet jednak poczułem, że jestem zupełnie niepodobny do owych dusz lekkich i świętych, co w jednym okamgnieniu stanęły przed Panem Jezusem.

Z przerażeniem poznałem, że jestem jak ów paralytyk schorzały, jak człowiek omdlały, bez sił i mocy. Nigdy tam nie zajdę, dokąd one zaszły lotem błyskawicy — to było okrutne przeświadczenie, jakie mi nagle zabłysło.

Patrze się więc znowu w stronę, gdzie Chrystus Pan stał i z nowym lękiem widzę, że twarz Zbawiciela do innych zwrócona z uśmiechem, odemnie z gniewem się odwraca, a nawet niknie gdzieś we mgle i w blasku, który tylko razi i kole moje oczy.

Nie koniec na tem. Gdy tak droga do Chrystusa się wydłuża i dla mnie znika już nadzieja zbawienia, gdy wszystkie moje grzechy, jak psy wściekłe, zaczynają na mnie ujadać i przypominać się wśród strasznego bólu, graniczącego z rozpaczą, słyszę jakieś dzikie zwierzęce chichoty i wycie. Jakiegom nigdy w życiu nie słyszał. Patrze i oniemiałem. Na drodze między mną a Panem Jezusem pojawiają się jakieś strasne obrzydliwe potwory. Jedne podobne do małp, inne do byków, inne do świń lub do niedźwiedzi. Prawdziwych zwierząt nie bałbym się tak bardzo. Ale te bydlęce postacie miały oczy rozumne i miny tak syderece i gesty tak okrutne, że struchlały patrzyłem, co z tego będzie. Zbliżały się do mnie z hałaśliwym śmiechem, z bluźnierstwem, z okrzykiem zwycięstwa. Już, już sa przy mnie te niepojęcie potworne małpoludy, już chcą mnie chwycić w swe obrzydliwe pazury. — Krzyknąłem wtedy z całej siły — i obudziłem się. Naddiegła siostra, przelekniona krzykiem, chciała wołać doktora, tak strasznie wtedy wyglądałem. Uspokoilem ją, jak mogłem, ale snu swego nie wyjawilem...

Tego samego dnia wieczorem klęczałem (po kilku latach) u krutek konfesjonalu. Byłem przekonany, że to jest jedynie mądra i konieczna rzecz, mój obowiązek.

Opisał brat Filina.